NASZE PISEMKO

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA STARANIEM UCZNIÓW
GIMNAZJUM PAŃSTWOWEGO W KATOWICACH

ROK II — CENA EGZ. 40 GR. — NR. 4

NASZE PISEMKO

MIESIĘCZNIK UCZNIÓW GIMN PAŃSTW. w KATOWICACH

ROK II * KATOWICE, DN. 5-GO GRUDNIA 1928 R. * NR. 4.

BORYS SŁAW.

JESIEŃ.

Pokutne, szare, myśl tłoczące chmury —
Na krańcach lata, jasne słońce kona...
Drzew—trupów, nagie, bezlistne ramiona.
Śmiertna agonja: kres życia natury...

Jesienne płaczą mi żałobne deszcze —
Łzy gorzkie... Kropla, kroplę goni,
Żali się, szeleści i tak dziwnie dzwoni...
O asfalt biją dżdżu krople złowieszcze...

Mgliste to niebo, do ziemi mnie tłoczy.
Bez słońca bowiem — nie rad długo żyję;
W oczach mych jeszcze... świat lata uroczy!

Jesieni dżdżysta— mgły poro i słoty,
Tyś czasem tęsknot, co ma dusza kryje!
Jesieni szara — poro mej tęsknoty...

E. IGLITZ.

Dr. MORTIMER i ŚMIERĆ.

Pewnej jesiennej nocy zajechała przed klinikę Dra Mortimera jakaś czarna tajemnicza limuzyna. Szofer wyskoczył i zaczął gwałtownie dzwonić. Ostry ton dzwonka przeniknął do kliniki, gdzie tylko zdrowi spali: Portjer, pielęgniarki, lekarze, a przedewszystkiem Dr. Mortimer, dyrektor i właściciel kliniki, sławny mistrz w operowaniu woreczka żółciowego. Szofer dzwonił jeszcze gwałtowniej; teraz dopiero zbudził się portjer, aby zobaczyć, kto mu to przeszkadza w śnie.

„Szybko, szybko, zbudź pan natychmiast profesora. Jego Excellencja umiera...“ Portjer wcale nie próbował odmawiać. Wiedział, że człowiek, który ma czelność dra Mortimera o tej porze budzić, musi być conajmniej miljonerem. Pobiegł bez wahania na górę, do sypialni profesora i zaczął sławnego chirurga budzić. Dr. Mortimer wstał, z początku złościł się trochę, ale skoro słyszał, że chodzi o jakąś Excellencję, zaczął się szybko ubierać. Po pięciu minutach był już na dole, trzymając w ręku walizkę z wszelkiemi narzędziami chirurgicznemi. „Do kogo jedziemy?“ zapytał się profesor wsiadając do samochodu. „Do Jego Excellencji“ odpowiedział szofer. „No dobrze, dobrze, ale kto to jest, jak się nazywa? „Śmierć“ brzmiała spokojna odpowiedź. Bezpośrednio potem samochód ruszył. Dr. Mortimer uśmiechał się i mówił do siebie: „Z pewnością śnię.“ Patrząc bowiem przez okno zauważył, że jadą między czarnemi skałami, na stromej drodze górskiej, po stronach której widział czarne, głębokie otchłanie. „Z pewnością śnię“ powtórzył profesor. „To nie może być rzeczywistość; ale co mnie to obchodzi, niech będzie co chce, i tak mi się nic nie stanie. O ile się nie mylę, to od stworzenia świata po raz pierwszy Śmierć potrzebuje ludzkiej pomocy. W każdym razie jest to wielki zaszczyt dla mnie, nie ma co!“ W tym momencie samochód zatrzymał się. Lokaj, który się natychmiast zjawił, otworzył drzwiczki samochodu.

Profesor wysiadł i zaczął się z ciekawością rozglądać po podwórzu. Nie mogąc, z powodu ciemności, niczego zauważyć, poszedł za lokajem, który go

zaprowadził do wielkiej, rzęsiście oświetlonej sali. „Proszę się niczem nie krępować“, powiedział. „Jego Excellencja zaraz przyjdzie“. Dr. Mortimer usiadł i z niepokojem rozglądał się po sali. Naogół był człowiekiem spokojnym i zrównoważonym, ale w tej chwili stracił panowanie nad sobą Po paru minutach ziawiła się przed nim Śmierć. „Kazałem Pana, Panie doktorze, przywołać“ powiedziała. „Wybacz mi Pan że tak późno.“ Dr. Mortimer wstał i ukłonił się. Teraz już odzyskał swój zwykły spokój. O mało co byłby się roześmiał. Przedstawiał sobie tego niepoprawnego mordercę zupełnie inaczej. Chociaż nie wierzył, że zobaczy ten tradycyjny szkielet z kosą w ręku, to jednak spodziewał się czegoś nadzwyczajnego, imponującego i odstraszającego. Ale ta śmierć... ..., to był mały, chudy, zgrzybiały chłopek, sięgający mu zaledwie po pierś. Wyglądała jak ogromny bakcyl, ta „Jego Excellencja,“ zdradzająca swą wytworność tylko tem, że miała na sobie ciężki, purpurowy płaszcz.

„Jestem bardzo chory“ powiedziała Jego Excellencja Smierć, skoro obaj usiedli. „Czuję, że wnet umrę.“ Dr. Mortimer osłupiał. „Zdaje mi się,“ powiedział, „że nie zrozumiałem Jego Excellencji“. „O, dobrze mnie Pan zrozumiał,“ powiedziała Smierć ze smutnym uśmiechem. „Czuję, że wnet umrę.“ Kazałem dlatego Pana zawołać, bo Panu najwięcej ufam“. „Excellencjo, naprawdę nie wiem jak się mam zato zaufanie odwdzięczyć, ale ..“ „Proszę ze mną nie dysputować. Jestem chory, co Pan zresztą sam będzie miał sposobność stwierdzić. Sam nie wiem, jak się to stało. Zawsze byłem zdrów. Czy się starzeję czy co? To jest pewnem, że już nie jestem takim, jakim byłem dawniej. Sledziona mnie boli, wątroba mnie boli, wszystko mnie boli. Jak mnie Pan nie wyleczy, to... ani mi się już o tem mówić nie chce“. Podczas gdy tak mówił, zapadał się coraz bardziej w swe własne ja. Profesor natomiast dostał dobrego humoru. Tożto też nie byle jaki wypadek, jak Smierć zachoruje. Cóżto też za choroba, która przez tyle tysięcy lat wkradła się z skutkiem dodatnim do tego nadzwyczaj czynnego chłopka? Coby się tak stało, gdyby Smierć umarła!? A coby było, gdyby on, Dr. Mortimer Smierć wyleczył!? Profesor nie posiadał się z radości. „Cierpliwości, Excellencjo, cierpliwości,“ mówił, zacierając sobie ręce. „Zaraz zobaczymy, co się właściwie popsuło. Proszę się rozebrać.“ Kiedy Excellencja to zrobiła, zaczął się Dr. Mortimer około niej gorączkowo krzątać. Opukiwał, słuchał i patrzał, gdzietylko mógł; mina jego stawała się corazto jaśniejsza, a dusza corazto ciemniejsza. „Wszystko w porządku, w jak najlepszym porządku; trzeba będzie tylko małą operacyjkę przeprowadzić. Zrobię to na miejscu. Za godzinę Excellencja będzie zdrów. Ale sam do siebie mówił: Koniec się już zbliża. Jeżeli go chcę uratować, będę mu musiał wyciąć śledzionę, pół żołądka i woreczek żółciowy. Ale i tak rezultat jest wątpliwy...“ „Ale czy ja operację wytrzymam?“ zapytała Smierć z niepokojem. „Ależ naturalnie, to dla mnie zabawka, już mi się więcej jak tysiąc takich operacyj udało. Nawet z zamkniętemi oczyma to zrobię“. „A czy wytrzymam narkozę?“ „Ale Excellencjo ..!“ Smierć wstydziła się swego tchórzostwa i pozwoliła, by ją Dr. Mortimer uśpił. Usnęła. Profesor patrzał przez pewien czas na spokojnie śpiącą Smierć. „Teraz cię mam“ pomyślał. „Jak mi się będzie chciało, to z tobą skończę Muszę się tylko troszeczkę pomylić, a uwolnię świat od ciebie i twych spustoszeń A dlaczego nie miałbym się pomylić?“ Ale z drugiej strony pomyślał sobie: „Biedaczysko jest chore; a skoro mi ufał, to nie wypada, bym miał być jego katem. Uratuję go.“ I podniósł nóż. Ale jeszcze nie ciął Był okropnie zdenerwowany. „Głustwo“ pomyślał, okropne głupstwo. Już się nigdy nie nadarzy taka sposobność. Ja mam Smierć uratować, aby mnie jutro czy pojutrze sprzątła? Smieszne! Będziemy żyli, będziemy wszyscy żyli, jak ten umrze. A umrze!

to jest pewne.“ I teraz zrobił w wnętrzościach Smierci dwa cięcia; następnie się pochylił i ją obserwował. Lecz Smierć się nie ruszyła: umarła Prof. umył sobie z całym spokojem ręce. „Niestety operacja się nie udała“ powiedział do lokaja który się na jego wezwanie zjawił „Excellencja umarła. Jej żółć.. ..ale Pan tego i tak nie zrozumie. Szkoda, trzeba mnie było prędzej zawołać.“ Podczas gdy tak mówił, pakował swoje rzeczy, poczem się ubrał. Lokajowi widocznie też wszystko było jedno, bo z największą obojętnością odprowadził profesora przed bramę i pomógł mu wsiąść do auta.

Podczas jazdy zadowolony profesor zapalił sobie cygaro. Nagle ktoś bardzo mocno zatrąbił. Auto się zatrzymało Dr. Mortimer wyjrzał zaniepokojony przez okno Jakiś olbrzym stał przed nim, trzymając w ręku wielki, ostry miecz. „Przepraszam, Panie doktorze,“ powiedział, „Pan zapomniał honorarjum,“ i wręczył mu kopertę, którą doktór szybko schował do kieszeni. Jego wyćwiczony dotyk skonstatował, że jest tam dwadzieścia tysięcy dolarów. „Bardzo jestem Panu wdzięczny za jego okazane staranie... szkoda, że operacja pozostała bez skutku“ powiedział olbrzym. „Tak tak, kiwał Dr. Mortimer, Excellencja chorobę zaniedbała. Trzeba było...“ „Ja to zawsze ojcu mówiłem...“ Dr. Mortimer spojrzał zdziwiony na olbrzyma: „Pan jest...“ „Tak tak, jestem synem ś. p. Excellencji. Teraz ja obejmuję cały interes.“ I olbrzym zniknął za skałami, podczas gdy auto odwiozło Dra Mortimera do domu.

ADAM DAWIDOWICZ, Kl. VIIa.

ORLĄTKO.

(Obrazek z obrony Lwowa w r. 1918)

Strzaszne to były dla Lwiego Grodu czasy, kiedy po ulicach wrzała okrutna, nieubłagana walka, walka w której brały udział nawet kobiety i dzieci. Miasto było zasypywane dniem i nocą gradem pocisków, które czyniły w mieście straszliwe spustoszenie i szerzyły panikę wśród ludności cywilnej. Ulice zasłane były trupami ludzi i zwierząt, nie chowanemi z obawy przed pociskami. Nierzadko całe noce spędzać trzeba w piwnicy, która dawała jaką taką rękojmię bezpieczeństwa.

Był początek grudnia pamiętnego roku 1918. Ukraińcy odparci nieco od miasta, podjęli znowu ofenzywę i zbliżyli się do miasta. A w mieście gotowano się gorączkowo do nowego starcia. Przed szkołą, zamienioną na prędce na koszary, stoi auto wyładowane karabinami i amunicją, przeznaczoną do rozdziału pomiędzy obrońców. Do oficera kierującego rozdziałem, zbliżył się jakiś chłopiec, lat około 14-tu i nieśmiałym głosem poprosił o karabin. Oficer zmierzył bystrem okiem wątłą postać ochotnika i krótkie „nie“ wyrwało się z jego ust. Chłopiec odszedł na bok i zaczął rozmyślać. Musi mieć karabin, musi za wszelką cenę! Z czemże pójdzie na Ukraińców? Nie poto przecież wyrwał się z pod czujnego oka matki, aby teraz wracać do domu. A możeby tak wziąć samemu, skoro nie chcą dać? Spróbować nie zawadzi. Poszedł z tyłu do auta, wspiął się na palce i chwycił najbliżej leżący karabin. Żołnierze zajęci rozdziałem niczego nie zauważyli i mały ulotnił się ze swą zdobyczą. Teraz pójdzie na przedmieście, gdzie jest linja walki, teraz, kiedy ma już karabin, muszą go przyjąć do okopów. Upłynęło kilka dni. Nasz znajomy całemi dniami przesiadywał w okopach, a na noc wracał do domu, chował karabin pod schody, a sam wykręcał się przed matką i zmyślał najróżnorodniejsze powody swej nieobecności.

Nadeszła noc św. Mikołaja. Bohater nasz nie poszedł tej nocy do domu bo cała załoga trzymana była pod bronią, w oczekiwaniu przypuszczal-

nego ataku wroga. Malec siedział oparty o wór piasku i rozmyślał z niepokojem, co powie matka, na jego nieobecność. Wszystko się wyda i odbiorą mu karabin. A tam w domu pewnie czeka na niego jakaś przyjemna niespodzianka, przecież dzisiaj jest św. Mikołaja. Ale co tam podarunki, żołnierz nie powinien myśleć o takich głupstwach, a on przecież jest żołnierzem.

Dalsze rozmyślanie przerwał mu sygnał, dający znać o zbliżaniu się wroga. W barykadach zakotłowało, padły pierwsze strzały. Mały nasz znajomy wdrapał się na szczyt barykady, aby wystawić lufę karabinu, ale tejże samej chwili stoczył się napowrót, ugodzony kulą w sam środek czoła.

W pół godziny potem konał nasz mały bohater w jednej z bram okolicznych domów.

W ręku ściskał jeszcze ciągle karabin, a na twarzy ukazał mu się błogi uśmiech. Z tym uśmiechem na ustach skonał. Śnił zapewne o św. Mikołaju . . . . . .

BORYS SŁAW.

FABRYKA.

Dymią fabryki wysokie kominy,
po niebie pisząc jakieś dziwne znaki;
zaś szare dymu — postrzępione ptaki —
w obłokach płyną — w nieznane krainy . . .

A w mrocznem wnętrzu dymnej kadzielnicy
huczą maszyny — Drżą jak burzy grzmot —
pracy odwieczną pieśń wciąż wybija młot—
a wy — milczycie szarzy robotnicy . . .

O w te krainy, kędy płyną dymy —
ja bym popłynął — Albowiem tam dusza —
pozbawiona ziemi — rośnie w olbrzymy?

O w kuźnie pracy niechaj duch mój rusza!—
gdzie nie fantazja, gdzie nie marzeń rymy,
lecz rzeczywistość—sercę, duszę wzrusza . . .

TADEUSZ WŁAD. STARK, VII a.

WALKA BYKÓW.

WSPOMNIENIE WAKACYJNE Z KRAINY SŁOŃCA

(Dokończenie)

Po takiej może 20 minutowej walce następuje t. zw.: „capeas“ lub „simulacre“, polegające na tem, że caballero uwiesza w pędzie na rogach rozjuszonego byka kokardę. Gdy to mu się uda, walka się kończy. Zwycięzca zdejmuje kapelusz i kłania się, dziękując za oklaski rozentuzjazmowanej publiczności.

Walka z bykiem z konia jest sposobem walki portugalskim. Jest ona bardzo trudną, bo caballero wraz z koniem muszą tworzyć jedną zgraną zupełnie całość. Łatwiejszą z tego względu, choć również wymagającą wielkiej zręczności jest walka „a la espagnol“, t. j. prowadzona sposobem hiszpańskim, którą wprowadza następny numer programu.

Po krótkiej przerwie, znów wśród dźwięków orkiestry, na arenie ukazuje się toreador w otoczeniu liczniejszej jak we walce poprzednej „cuadrille“. Ledwo zdążyli zająć swe miejsca, gdy znów otwiera się brama i wbiega żywo na arenę zwinny „toro“, który widząc wokoło czerwone kapy rzuca się na nie pełen wściekłości. Jednak „peons“ tak zręcznie manewrują nimi, że zawsze prawie uderza on w próżnię. Gdy zaś walczący spóźni się o sekundę z jej usunięciem, byk porywa kapę na rogi, a rzuciwszy na ziemię, rozrywa ją rogami i kopytami. Czasem jednak pędzi wprost na walczącego. Wtedy temuż nie pozostaje nic innego jak uciekać. Chowa się on za wąskie wystawki, umieszczone na arenie przed parkanem, za które nie może dostać się byk, bo wejście jest za wąskie, gdy zaś brak czasu, by dolecieć do najbliższej wystawki peon szybkim skokiem, chwyciwszy za żelazne sztaby ponad parkanem, wskakuje na parkan. Wtedy to tylko głuchy stuk rogów byka o parkan

przekonuje, że był największy czas po temu.

Gdy harce te rozwścieczyły i zmęczyły byka, wysuwa się toreador, który dotąd nie mieszał się do walki. Na jego widok byk, mając z nim widocznie dawniejsze obrachunki, ożywia się i staje się wściekłym. Biada temu, ktoby teraz potknął się lub przewrócił, bo byłby napewno roztratowany. Lecz strzały, które toreador trzyma w ręce, nie miną rozhukanego byka.

Podziwu godną jest odwaga pogromcy, który, według powyżej już wspomnianej zasady walki, biegnie wprost na byka i w oddaleniu kilku centymetrów od jego rogów wbija mu wciąż nowe strzały w kark, a pod koniec walki w kark albo między rogi wbija różnokolorowe kokardki lub barwne wstążki na ostrych gwoździkach. W parze z odwagą idzie zwinność i zadziwiająca szybkość ruchów, tworząc razem nader efektowny obraz. Nic więc dziwnego, że coraz większy entuzjazm opanowuje publiczność i walka kończy się nieznanym u nas wybuchem uznania: publiczność wstaje z miejsc, bije brawa, krzyczy, wymachuje rękoma, na toreadora, który uśmiechnięty kłania się i wyciąga ręce do publiczności, spada deszcz kwiatów a obok kwiatów na arenę lecą kapelusze i czapki. Tłum szaleje z radości i długo nie może się uspokoić.

Trzy następne walki prowadzone są tym samym sposobem. Mogłoby się zdawać, że wkońcu znudzą one widza. Tak jednak nie jest. Przebieg walk jest bowiem zawsze inny i obfituje w nowe momenty, tak, że uwaga widza utrzymaną zostaje w ciągłem naprężeniu.

Wytwarzają się coraz to nowe sytuacje, zależnie od temperamentu walczącego toreadora, a również i temperamentu byka, z których jeden jest dzikszy, drugi zaś mniej reaguje na zaczepki toreadora i jego pomocników. Jeden z byków nie miał wogóle ochoty walczyć i nie odpowiadał ani na drażniące krzyki ani na wymachiwania kapami czerwonemi, lecz, dumnie patrząc na publiczność, urządził sobie „grand paseo" i defilował naokoło areny. Na ten brak animuszu wojennego, na widowni zerwała się burza okrzyków niezadowolenia, gwizdów, tupania, wobec czego byka trzeba było wycofać a wpuścić innego. Ten zato pomścił swego kolegę na toreadorze, gdyż o mało co byłby poturbował na śmierć swego przeciwnika: rzuciwszy się bowiem nań z nienacka, pchnął go z taką siłą, że toreador padł na ziemię i jedynie dzięki przytomności umysłu i szybkości szczęśliwie uniknął jeszcze rogów byka, podnosząc się błyskawicznie i rzucając się do ucieczki.

Szóstą z kolei walką była walka „á la provençal" na sposób prowansalski, która jest zupełnie odmienną od poprzednich.

Bierze w niej udział tylko trzech walczących, którzy są ubrani w białe sportowe ubrania, by nie mieć skrępowanych ruchów, nie mają w ręku czerwonych kap i nie są też wspomagani przez cuadrillę. Ich zadaniem jest, uniknąć w ten sposób rogów byka, że, pędząc wprost na niego, przeskakują go. Są to t. zw. ‚sauteurs, skoczkowie. Jest to walka bardzo efektowna i może najtrudniejsza ze wszystkich, wymaga bowiem większej jeszcze zręczności i więcej zimnej krwi aniżeli walki poprzednie. Trudno wyjść z podziwu nad odwagą tych ludzi, gdy się widzi pędzących na siebie dzikiego rozjuszonego byka i drobną białą postać, która w ostatniej chwili, gdy już byk dosięga ją rogami, odbija się od ziemi i w zgrabnym ruchu przeskakuje byka na jego długość. Czasem skoczek odbija się o grzbiet byka i spada jak długi w piasek areny, ale i wtedy, choć musiał się strasznie potłuc, natychmiast podnosi się z ziemi i ucieka za wystawkę, nim byk powróci.

Również ciekawe jest obserwować przy tych harcach byka. Ten nie może objąć swym umysłem co się stało z człowiekiem, który na niego przed chwilą leciał, nie może pojąć, gdzie się on podział, mignąwszy mu tylko przed oczyma. W wzroku byka maluje się zdumienie; niemądrze rozgląda się wokoło, szukając przeciwnika. Wreszcie, obróciwszy się spostrzega go i puszcza się w pogoń. Wtedy rozpoczyna się gonitwa, w czasie której „sauteur" zaczyna się z bykiem niejako przekomarzać. Otóż w pędzie zbliża się do byka na odległość ręki i przyczepia mu na karku lub między rogami kokardę kolorową, jedną za nią drugą, potem trzecią, czwartą, piątą. Niebawem grzbiet i kark są całe w nie przystrojone. Byk otrząsa się, bo nie wie co to ma znaczyć, ranią go też gwoździki, do których kokardki są przyczepione.

Lecz w tem sauteurs znów przyskakują i zrywają kokardki. I te harce są niebezpieczne, wymagają bowiem zbliżenia się w pędzie do byka na kilka centymetrów i szybkiego usunięcia się. Słusznie też i ta część programu wywołuje długotrwałą burzę oklasków, okrzyków i owacyj.

Widząc, w ciągu tych przeszło 3 godzinnych walk, że nikomu z pogromców nic się nie stało,

oswoiłem się z nimi do tego stopnia, że zdawało mi się, że walki nie są jednak tak niebezpieczne dla życia walczących, jak wydawało się początkowo. Lecz koniec przedstawienia miał mnie przekonać, że jest inaczej. Na zakończenie wyznaczono t. zw.: Courses d' amateurs - walki amatorskie, w których biorą udział ochotnicy z publiczności. Dla ich bezpieczeństwa byk ma rogi obwiązane, t. zw. „toro emboule". Lecz pomimo tego zaszła katastrofa. Otóż w czasie tej walki rozjuszony byk rzucił się na jednego z śmiałków, który, zamiast uskoczyć w bok i schronić się poza najbliższą wystawkę, zaczął biec wprost przed siebie. Byk dogonił go, uderzył go z taką siłą w plecy, że uciekający runął na ziemię, i potratował go. Publiczność oniemiała z przerażenia: na ustach wszystkich zawisło pytanie: czy żyje? W tem stało się coś niespodziewanego. Otóż najlepszy z skoczków, sauteur Granito, który przyglądał się amatorom między publicznością, przesadził parkan i biegnąc wprost przed byka, który się już zabierał do nowego ataku na leżącego, skierował jego uwagę na siebie, tak że byk zapomniał o swej ofierze i puścił się za skoczkiem w pogoń. Zwinny skoczek pędzi wprost na bramę, przez którą wpuszcza się byka a którą służba, orjentując się o co chodzi, szybko roztwarła. Byka dzieli coraz mniejsza odległość, już dogania skoczka. W tem - tuż przed bramą - ów skręca, nagle w bok, byk zaś, nie mogąc się zatrzymać wpada w bramę, którą służba zatrzaskuje.

Powaga sytuacji nie pozwalała tak ocenić rycerskości i przytomności umysłu skoczka, jak na to zasługiwał. Usunąwszy w ten sposb z areny byka, można się było teraz zająć poturbowanym. Wyniesiono go z zwisającą trupiobladą twarzą z areny, ułożono na trawie, a lekarz, znajdujący się między publicznością, zaczął opatrunek. Wszyscy powstają z miejsc pełni konsternacji. „C' est mal fini", mówi jakaś pani obok mnie. Nikt nie odchodzi, choć przedstawienie skończone. Po kilku minutach wstępuje życie w koło otaczających nieszczęśliwego śmiałka i zrywają się oklaski i okrzyki: „Bravo! Bravo!" Nieprzytomny przychodzi widocznie do siebie. Rzeczywiście za chwilę lekarz prowadzi go do ławki i tam go usadza. Jak wyczytałem później w dzienniku, śmiałek wyszedł cało, lecz poprzysiągł sobie, już nigdy nie wdawać się w walkę z bykiem, która, jak miałem sposobność się przekonać naocznie, zawsze jest niebezpieczną dla walczących.

Czytelnicy zapewne z zdziwieniem zauważyli, że w walkach, które opisałem, nie zabijano wcale byków. Rzeczywiście, były to walki bezkrwawe, zgodnie zresztą z zapowiedzią w dziennikach w ostatniej chwili, że będą to walki „sans mise à mort". W żadnej walce nie uśmiercono byka, a toreadorzy w chwili gdy mogli utopić nóż w karku byka, przyczepiali mu kokardę, markując jedynie tem zabicie (‚simulacre') Dlaczego tak było, nie umiem powiedzieć. Nie wiem czy działo się to dlatego, że byki nadające się do walk trzeba sprowadzać z południowej Hiszpanji, a więc dla oszczędności, czy też dlatego, ze przed przedstawieniem pojawiły się protesty przeciw okrucieństwu walki byków ze strony miejscowego Towarzystwa ochrony zwierząt, czy wreszcie - co porusza Sienkiewicz w swym barwnym opisie: „Walka byków w Hiszpanji" - z tej przyczyny, że ze wzrostem kultury ludzie południa przestają się lubować w okrucieństwie w takim stopniu jak dawniej. Lecz i w takiej formie walki byków wydały mi sie interesującem widowiskiem: są one odrębnym sportem, u nas nieznanym a cieszącym się na południu wielkiem wzięciem pod klasyczną nazwą „tauromachji".

H. MARR (Margulies VII a).

SPORT U STAROŻYTNYCH.

Wiek XX jest wiekiem przełomowym. Żyjemy w epoce wybitnie sportowej i nie każdy wie o tem, że sport nie jest nowym. Sporty były cenione w starożytności i kultywowane, na dowód tego mamy kroniki sportowe. Każdy sądzi, że boks jest wymysłem nowoczesnym i „modą chwilową", ale tak nie jest, liczy on bowiem conajmniej 2 tysiące lat. Boks w starożytnej Grecji był jednym z najwięcej rozwiniętych sportów, a polegał na sztuce odbijania ciosów i umiejętności wytrzymania jaknajsilniejszych uderzeń. Zapaśnik taki ubierał na rękę i przedramię rękawicę w formie worka, w której były zaszyte kamienie. Zwolennicy boksu dzielili się nie jak

dziś na: wagę lekką, ciężką, czy inną, lecz był podział wedle budowy ciała na: atletów-orłów, atletów-niedźwiedzi, atletów lwów i t. d. Ciosy kierowano w głowę przeciwnika, a szczęście miał ten zapaśnik, który wyszedł z walki bez rozbitego nosa czy wybitego oka. Piłkę nożną uprawiano także, a używano do tego piłki wielkości dzisiejszej. Gra ta nazywała sie „harpastum". Gracz wyrzucał ją do góry a inni usiłowali ją chwycić i wyrzucić za granicę pola przeciwników. „Hockey" dziś tak modny sport, uprawiany przeważnie na Nowym-Swiecie, był też sportem znanym: Jest to gra w piłkę, którą wyrzuca się grzy pomocy zgiętej laski. Olimpjada, a właściwie igrzyska olimpijskie inaczej wyglądały. Stanowiły one istne pielgrzymki narodów, a na czas tych igrzysk, obowiązywało miesięczne zawieszenie broni, między miastami, które prowadziły wtedy wojnę Igrzyska trwały sześć dni. Zapaśnicy stawali do zawodów obnażeni, co ułatwiało nacieranie ciała maściami, i robienie masażu, celem nadania członkom elastyczności i siły po walce. Masaż stosuje się w sporcie i dziś, a najlepszym jest masaż fiński, Nagrodą były gałązki oliwne, zerwane z gaju Afrodyty. Zwycięzcę uważano za półboga, a po powrocie do miasta rodzinnego, współobywatele robili wyłom w murze, na znak, że miasto posiadające takiego syna, nie potrzebuje się bać wrogów. Rekordy starożytnych przewyższały dzisiejszych zapaśników bez porównania. Na jakiej wyżynie stał sport, daje nam pojęcie taki Failus, który rzucał dyskiem 95 stóp, a skakał w dal 14 metrów!!

Polimanster przebiegł w dwu dniach 210 km!!?

U starożytnych sport był więcej. poważany niż dziś, rozumieli lepiej, że zdobywa się energię i dzielność i kierowali się rozumną maksymą:

„W zdrowym ciele zdrowy duch".

ADAM DAWIDOWICZ Kl. VII a.

CYKL WSPOMNIEŃ OBOZOWYCH.

(Ciąg dalszy)

IV.

Historja z „dzikiem".

W drugim tygodniu pobytu naszego na obozie, grono nasze powiększyło się znacznie. Dostaliśmy mianowicie gości, sześciu nader sympatycznych skautów czeskich. Byli to Polacy, zamieszkali w Czechosłowacji, i mieli spędzić wakacje na naszym obozie. Istnieje bowiem w skautingu zwyczaj wymiany członków z obozami zagranicznemi, aby w ten sposób umożliwić im zwiedzenie kraju. Nasi „Czesi" przypadli zaraz wszystkim do serca. Byli to chłopcy starsi, o imponujących postawach i świetnej zaprawie sportowej, co szczególnie zjednało im sympatję w obozie.

Zwykły tryb życia obozowego został niebawem przerwany wypadkiem, bądź co bądź dosyć ciekawym. Otóż pewnej nocy obudził nas piekielny jakiś wrzask; wszystko zerwało się na równe nogi w mniemaniu, że nadszedł już conajmniej dzień sądu ostatecznego. Jakież było nasze zdziwienie, skoro się okazało, że sprawca całego incydentu była tak niepokaźna istota, jak jeden z naszych „wilczków", który miał właśnie wartę w obozie. Biedak był przelękniony do tego stopnia, że zaledwie mógł roztrzęsionym głosem opowiedzieć nam swą „niesamowitą" przygodę. Była naprawdę przerażająca. Mianowicie, w czasie obchodzenia obozu, zobaczył siedzącą pod szałasem jakąś dziwną istotę. Było to zwierzę dosyć duże, z przodu podobne do bobra, z tyłu do borsuka a wszystko to wzięte razem, dawało — wedle opowiadania wartownika — ni mniej ni więcej tylko straszliwego

dzika. Nie dość na tem, dziwny napastnik wcale nie uciekał, lecz dalej siedział pod ścianą i szukał czegoś między gałęziami, wydając przytem jakiś tajemniczy gwizd. Uciekł dopiero na krzyk wartownika. Przeszukano natychmiast okoliczne zarośla, ale nie znaleziono śladu nocnego gościa. Reszta nocy przeszła spokojnie.

Nazajutrz rano, zaczęliśmy znowu wypytywać wartownika o tajemnicze zwierzę, ale nie można się było nic nowego dowiedzieć, prócz solennych zapewnień, że był to najautentyczniejszy dzik. Znaleźli się wprawdzie dowcipniejsi, którzy śmieli wątpić, czy wartownik wogóle kiedy widział dzika, ale tacy „niewierni Tomasze" spotykali się ze świętem oburzeniem wszystkich „wilczków", którzy solidarnie popierali twierdzenia swego kolegi.

Warta na noc następną przypadła na nasz zastęp. Ku niemałemu żdziwieniu dowiedzieliśmy się rano, że wartownik, którego straż przypadała około północy, znowu zobaczył pod ścianą szałasu jakieś zwierzę, podobne z opisu do gościa z zeszłej nocy. Wartownik, jako starszy i niezbyt płochliwy, nie robił hałasu, lecz zbliżywszy się ostrożnie, zaświecił znienacka latarkę, ale zwierzę momentalnie znikło w ciemnościach nocy, wciąż wygwizdując przeraźliwie. Czekaliśmy z zaciekawieniem na noc następną. Tym razem straż miał jeden z „Czechów". Zwierzę znów było pod szałasem, na krótko po północy, lecz zanim strażnik zdążył złożyć się do strzału, uskoczyło w zarośla. A zatem i rozumu nie brakowało naszemu gościowi nocnemu.

Cała sprawa zaczęła nas ciekawić nie na żarty. Postanowiliśmy dowiedzieć się od chłopów, czy widziano tu kiedy w okolicy dziki. Odpowiedzieli, że „teper nema, ałe w zymi je mnoho". Ładna perspektywa! A nuż takiemu bydlakowi przyjdzie do łba, zabrać się do naszych karków? Co będzie jeżeli pewnego pięknego poranka obudzimy się bez głów? Zwłaszcza „wilczkom" przychodziły do głowy takie miłe przypuszczenia. Chcąc sobie dodać na warcie odwagi, przyprowadzili ze wsi jakiegoś psa i umieszcili w namiocie, ale pies widocznie zbyt obficie żywiony, rozlenił się i ani myślał wstawać, kiedy „dzik" gwizdał w okolicznych krzakach. Co najciekawsze, miał „dzik" swój czas, w którym się w noc zjawiał, a mianowicie pomiędzy godz. 12 tą a 1-szą.

Naprawdę już obawiając się o całość naszych karków, postanowiliśmy ubić dzika przy najbliższej sposobności. Ale miał on stanowczo szczęście, bo w godzinach jego wizyty miał straż, dziwnym trafem, zwykle jakiś „wilczek", a nie odznaczający się wcale wojowniczym charakterem ani też lwią odwagą, za nic w świecie nie podjąłby kroków agresywnych przeciw „dzikowi".

Kiedyindziej znowu, obudziło mnie w nocy jakieś szarpanie. Byłem pewny, że to „dzik" dobiera się do mej skóry, i dusza moja zmieniła na skutek tego zwykłe swe siedlisko i usiadła na ramieniu, ale uspokoiłem się zaraz usłyszawszy znany, choć nieco drzący (zapewne z zimna) głos: „Dru... druhu, dajcie mi prędko jeden nabój, bo... bo zapomniałem nabić flobertu, a dzik znowu siedzi pod szałasem". Zerwałem się naturalnie natychmiast, ale zamiast pudełka z nabojami, dałem „wilczkowi" pudełko z wazeliną, a kiedy wreszcie znalazłem w przepaścistym plecaku upragnione naboje, „dzik" dawno już drapnął.

Obóz dobiegał końca, a sprawa „dzika" wcale się nie wyjaśniła. Tajemniczy gwizd słychać było już przez całą prawie noc, ale to bynajmniej nie przyczyniło się do rozwiązania zagadki.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się niczego pewnego o tajemniczym gościu nocnym.

V.

Alarm.

Tradycją każdego obozu, jest urządzenie jednego choćby alarmu nocnego. Ma to na celu wykazanie sprawności jednostki lub zastępu. Oczywiście alarm utrzymywany jest przez komendę w najgłębszej tajemnicy i urządzany wtedy, kiedy nikt się go nie spodziewa.

Nasz alarm był szczególnie pamiętny, jako obfitujący w mnostwo epizodów humorystycznych. Pewnej nocy, około godz. 11-tej, kiedy wszystko już spało snem kamiennym, rozlega się nagle przerywany gwizdek, który jest hasłem alarmu. Za 5 minut trzeba stać w pełnym rysztunku na linji zbiórki.

W naszym szałasie zrobiła się istna Sodoma i Gomora. Wszystko musiało się odbywać wśród grobowego milczenia i ciemności egipskich, jak przystało na prawdziwy alarm. Ośm czy dziewięć białych postaci, utworzyło momentalnie wijący się kłąb ciał w pośrodku szałasu. Każdy cisnął się do swego plecaka, a w rezultacie znajdował się na ziemi, pod nogami innych. Byle prędko, byle tylko prędko! Był podówczas w szałasie chory komendant obozu, który nie był zobowiązany do wstawania na alarm z powodu swej choroby. Ten nieszczęśnik wyszedł na alarmie najgorzej; podeptany nielitościwie, jęczał boleśnie na swem posłaniu, ale to nie wzruszało nikogo. Co do mnie, to zaraz po podniesieniu się z posłania otrzymałem zamaszysty cios pięścią w nos. Nie czas było na szukanie właściciela tak niebywale zamaszystej ręki, ani też na zemstę. Chwyciłem z kołka mundur, ale pomimo dokładania wszelkich starań, nie mogłem go włożyć na siebie. Po chwili dopiero uprzytomniłem sobie, że wdziewam koszulkę tam, gdzie ludzie zwykli nosić spodnie. Ubrawszy się, zacząłem pakować plecak; cudem jakimś znalazły się na czas troki, zwinąwszy więc po długich i ciężkich cierpieniach koc, wyszedłem z szałasu.

W namiotach „wilczków" było stokroć gorzej. Każdy czegoś szukał, każdemu coś „wsiąkło", temu mundur temu czapka, innemu wreście cała pościel wraz z plecakiem. Zastęp pierwszy więc stawił się najprędzej, za co oprócz zadowolenia moralnego, miał jeszcze dostać podwójną porcję leguminy.

Po odbytym przeglądzie, nastąpiła gra nocna z podchodami. Wtedy dopiero zmienia się człowiek nie do poznania, i staje się z mieszczucha prawdziwem „leśnym" człowiekiem. Nic to, że w zapale gonitwy rżnie człek głową o drzewo, nic to, że co krok potyka się i przewraca. Pełny zadowolenia bezpośredniego obcowania z naturą wynagradza wszystko.

Po zabawie odbył się kilkometrowy marsz nocny, poczem pomęczeni wróciliśmy do obozu, aby dalej kontynuować przerwany sen, tym razem już do samego rana.

K. N. Kl. VIII.

KLASZTOR O. O. FRANCISZKANÓW w PANEWNIKU.

„Haec est domus Domini firmiter aedificata."
Breviarium Rom. — Seraph.

Po neronowych rządach Bismarcka osłabiły się znacznie szeregi bojowników za ideę Chrystusową. Więcej niż gdzieindziej dawał się on we znaki duchowieństwu w obwodzie przymysłowym Górnego Śląska. Księża, przeciążeni pracą duszpasterską, zwrócili się z prośbą o pomoc do zakonu O. O. Franciszkanów. Początkowo zamierzano wyznaczyć im siedzibę w Goduli, w powiecie świętochłowickim, ponieważ miejscowość ta była jeszcze najdogodniej położona względem tak dużych parafij, jak Bytom i Król. Huta. Wkrótce jednak

zmieniono ten plan. Na jednej z konferencyj duchowieństwa ks. proboszcz Ludwik Skowronek, który już przedtem kupił był odpowiedni na ten cel obszar ziemi, radził, żeby osiedlić Ojców w Panewniku; projekt znalazł uznanie duchowieństwa i został zatwierdzony przez kurję biskupią. Po pewnym czasie udało się również uzyskać zezwolenie ministerstwa.

Odtąd zaczyna się wytrwała praca nad budową klasztoru. Radą i czynem stali w Starym Panewniku. Pierwsi zamieszkali w nim dnia 18 grudnia 1902 r. dwaj bracia Franciszkanie: Tatjan i Ubald, ktorzy przebudowali go na klasztorek. Dnia 22. grudnia przybyli dwaj pierwsi Ojcowie: O. Kamillus Bolczyk i O. Wilhelm Rogosz. Wkrótce okazało się, że dwóch Ojców nie może podołać nawałowi pracy, więc dodano im jeszcze jedną siłę w osobie O. Ksawerego Żgolika. Praca ich duszpasterska wymagała wielkich ofiar i wielkiego

Kościół i klasztor O. O. Franciszkanów w Panewniku.

Franciszkanom przy boku przedewszystkiem ks. prob. Skowronek z Bogucic, ks. komisarz August Schuhmann z Mikołowa i ks. prob. Ludwik Tunkel z Kochłowic. Ks. prob. Skowronek zakupił dla Franciszkanów 8 morgów gruntu, później zajął się pisywaniem podań do władz. Ks. Schuhmann troszczył się o pożywienie dla zakonników i werbował dobrowolnych robotników do budowy klasztoru. Wielkim przyjacielem zakonników był również ks. prałat Schirmeisen z Bytomia. Ponieważ osada miała być duża, więc zakupiono jeszcze 32 morgi ziemi, tak, że łączny obszar był dość znaczny. Za tymczasowe pomieszczenie służył zakonnikom domek, położony nad szosą mikołowską, poświęcenia. Czy słota czy mróz musieli zakonnicy, zmęczeni pracą, chodzić 5 km. z dworca do niewygodnie urządzonego klasztoru, a to przez pięć lat.

W trzy lata później, dnia 4 pazdziernika, zabrano się już do właściwej budowy klasztoru, kiedy ministerstwo zatwierdziło plany kościoła, wykonane przez architekta Franciszkanina, br. Mansueta. W r. 1905 zbudowano fundamenty, w r. 1906 budowa kościoła sięgała do okien, a klasztor został nakryty. Z początkiem r. 1907 niktóre pokoje w nowym klasztorze mogły być zamieszkane, a ostateczne przesiedlenie ze starego klasztoru do nowego nastąpiło dn. 29 września t. r. W następnym roku wprawiono okna

do kościoła, zajęto się ozdabianiem wnętrzna budynku. Wielką trudność sprawiało ustawienie 7 m. wysokiej miedzianej figury św. Franciszka na kopule dachu. Tyle z historji powstania klasztoru i kościoła.

Teraz uważam za potrzebne, podać przynajmniej w ogólnych zarysach opis kościoła, Już z daleka robi na nas potężne wrażenie kościół pod wezwaniem św. Ludwika, zbudowany w stylu romańskim, na którym figura św. Franciszka błogosławi krzyżem okolicy. Przez przedsionek z trzema portalami wchodzimy do przednich części przestrzeniowych, w których na głównym chórze znajdują się zbudowane w r. 1925 organy o trzech manuałach, 53 rejestrach i 3721 piszczałkach. Kościół jest podzielony na trzy nawy podłużne, z których środkowa jest 12 m. szeroka, a boczne po 5,5 m., i jedną nawę poprzeczną. Nad przecięciem nawy środkowej i poprzecznej znajduje się kopuła o średnicy 13 m., na której stoi figura św. Franciszka. Nawa środkowa przechodzi w presbiterjum, do którego dochodzi się 16 stopniami w górę. Ołtarzy jest ogółem dziewięć. Ołtarz główny jest baldachimowy, ozdobiony kilkunastu kolumnami. Warto również zwrócić uwagę na witraże, które znajdują się w półkulistych zakończeniach presbiterjum i nawy poprzecznej, przedstawiające różne sceny z życia św. Franciszka i św. Antoniego. Nad głównym wejściem do kościoła znajduje się wielka rozeta o średnicy 8 m, przedstawiająca św. Cecylię otoczoną dwunastu grającymi aniołami. Kończąc opis kościoła wspomnieć jeszcze muszę o krypcie. Jest to kościół podziemny, znajdujący się pod presbiterjum, 20 m. długi, 11 m. szeroki, mogący pomieścić do 800 ludzi. Wchodzi się do krypty z kościoła głównego dwoma schodami, znajdującemi się po obu stronach schodów, prowadzących do presbiterjum. Krypta jest poświęcona św. Józefowi. Jedyny ołtarz, nad którym rzeźba wyobraża nam śmierć św. Józefa, jest wykonany z piaskowca francuskiego, a z przodu ozdobiony małemi kolumnami z czarnego marmuru. Okna są witrażowe i przestawiają nam różne sceny z życia św. Józefa. Taki jest w głównych tylko zarysach wygląd kościoła.

C. d. n.

Wspaniały okaz jelenia w Zwierzyńcu w Parku Kościuszki w Katowicach. *(Fot. Buchner kl. VIII.)*

Kl. VI w ogrodzie botanicznym Gim. Państw. w Katowicach.

KRONIKA.

Z powodu braku miejsca, omówienie wyników ankiety odkładamy do najbliższego numeru.

A. D. VII a.

Pamięci nieodżałowanego Kolegi naszego śp. Józefa Grobosza.

Przykry wypadek dotknął nas dnia 15 bm. Jeden z kolegów zmarł nagle w klasie, w otoczeniu wszystkich, w chwili kiedy witał zdaleka wchodzących kolegów. Najtragiczniejsze zaś było to, że koledzy niosiąc go w ramionach, nie przypuszczali, że niosą już tylko trupa. Nie pomogła natychmiastowa pomoc lekarza: dusza uleciała w zaświaty. Nagły skurcz serca położył kres młodemu życiu, a nieubłagana śmierć wyrwała nam drogiego kolegę.

Zmarły był dobrym kolegą, a będąc usposobienia spokojnego, cieszył się sympatją całej klasy. Tem większy więc żal ścisnął nasze serca, na widok pustego miejsca w ławie, gdzie siedział nieboszczyk. Śp. Józef Grobosz pochodził z rodziny robotniczej, zamieszkałej w Łagiewnikach, i tam też przewieziono Go na miejsce wiecznego spoczynku.

Na pogrzeb, który odbył się w niedzielę, pośpieszyła cała klasa VIIa z p. Dyrektorem i przedstawicielami Grona Nauczycielskiego na czele, oraz kilku kolegów z klas innych, przyjaciół i znajomych zmarłego.

W domu żałoby w Łagiewnikach, oddali koledzy zmarłemu ostatnią posługę, dopełniając smutnego ceremonjału przykrywania trumny wiekiem, poczem ramiona sześciu kolegów zaniosły trumnę do karawanu i kościoła. Pierwsi też koledzy rzucili grudki ziemi na trumnę.

Oby Ci ta ziemia rzucona rękami kolegów lekką była, Drogi Towarzyszu z ławy szkolnej! Pamięć o tobie nigdy nie uleci z naszych serc!

Założenie kółka historycznego.

Przy naszem gimnazjum założone zostało kółko historyczne. Celem kółka jest pogłębianie i rozszerzanie wiadomości historycznych przez wygłaszanie referatów. Pierwsze zebranie odbyło się 28. z. m. Na zebraniu tem wybrano zarząd następujący: kol. Grodzicki [VIIa] prezes, kol. Werner [VIIb] wiceprezes, kol. Rymer [VIIa] sekretarz. Następnie kol. Brodowski [VIIa] wygłosił referat o Stefanie Batorym. Po referacie wywiązała się ożywiona dyskusja. Zebrania odbywają się regularni co dwa tygodnie, we środę o godz 18-tej. Opiekunem kółka jest p. prof. Dobaczewski.

Z działalności kółka „Miłośników Lotnictwa", i „Przyjaciół Morza" — uczniów Państwowego Gimnazjum w Katowicach.

Założone — oba Kółka — w ubiegłym roku szkolnym pracują intenzywnie i wykazują wiele inicjatywy. Co tydzień odbywają się zebrania członków z referatami dyskusyjnemi, na tematy różnorodne I tak 16. XI. referat „znaczenie morza do państwa" wygłosił kierownik sekcji „Przyjaciół Morza" uczeń kl. VI a M. Wolf, rozdając równocześnie numer propagandowy miesięcznika — Morze - ; 23 XI referat dyskusyjny „Czy potrzebne nam lotnictwo" (na temże zebraniu postanowiono założyć sekcję modelarską); 30. XI referat ucz. kl. VII b Szymierka „O wybrzeżu polskiem".

Na posiedzeniu zarządu omawiano plan całorocznej pracy, w której dominującą rolę moją odgrywać samodzielne uczniów referaty.— Po referatach następuje koleżeńska pogawędka a oprócz tego gra w szachy.

BĄKOWSKI ALFRED Kl. VIIa.

Recenzje z przedstawień dla młodzieży szkolnej

Zupełne zasłużone powodzenia, odniosła opera Jotejki „Zygmunt August", wystawiona dla młodzieży szkolnej, dnia 1 grudnia b. m Muzyka, aczkolwiek ciężka, przepleciona melodyjnemi arjami jak „Arja Bony" i w. in. zachwycić mogły nietylko muzyków, ale i naszą młodzież pod tym względem mało wykształconą. Ślicznie otworzona scena śmierci Barbary, tak potrafiła przemówić w serca widzów, że z niejednych ócz, stoczyły się łzy litości dla biednej.

Poszczególne role zostały świetnie obsadzone, jak rola Barbary — Lubicz, Królowej Bony Bielecką, Zygmunta Augusta Stępniowskim. Świetnie zwłaszcza wykonała swą rolę Bielecka. Jej sopran bohaterski w niektórych miejscach pięknie modulowany, podobał się bardzo. Obok wyżej wymienionych artystów nie możemy zapomnieć o barytonie Romanowskim, w którym Teatr Polski zaangażowawszy go w roku bieżącym, zyskał rzeczywiście pierwszorzędną siłę artystyczną.

Na jedno chciałbym tylko zwrócić uwagę: dlaczego Dyrekcja teatru daje przedstawienia dla młodzieży okrojone? Chyba pewna zniżka, z której młodzież korzysta nie decyduje o tem! I tak na omówionym przedstawieniu opuszczono cały akt — Śmierć Zygmunta - moze najładniejszy z całej opery. Zdaje mi się, że należałoby dawać utwory w całości, albo wogóle nie wystawiać, bo przecie autor nie komponował tak utworu, aby każdej chwili można było wyrzucić ten lub ów akt, bez szkody dla całości.

Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze w Król.-Hucie.

W sobotę, dnia 24. z. m. o godzine w pół do szóstej odbyła się uroczysta akademja w auli powyższego zakładu, urządzona staraniem „Kółka Filomatów" („K. F"). Po wygłoszeniu słowa wstępnego przez ucznia Wojtasika, oraz szeregu deklamacyj odegrano dramat w trzech aktach p. t.: „Sprzysiężenie," pióra „młodego dramaturga" ucz. Wojtasika, który również kreował główną rolę w swoim utworze.

Co do samego utworu, to należy zaznaczyć, że jest on napisany bardzo dobrze, tak pod względem formy i treści (jest pisany wierszem — i to bardzo gładkim), jakoteż pod względem rozłożenia osób i akcji, która nie przestaje być przez cały czas ciekawą. Co do kreacji zaś autora głównej roli: Wysockiego to mimo wszystko odtwórca jej — szarżował przesadnie głosem, co było zresztą niewielkim minusem, wyrównywały bowiem ten brak ruchy oraz mimika. Najlepiej jednak wywiązał się ze swego zadania ucz. Wislocki w roli „szpiega" w akcie II, mniej już w akcie III w roli II-go „ducha", gdzie mówił niejednostajnie i za szybko. Mimo tych nieznacznych usterek bezprzecznie muszę przyznać, że ucz. Wisłocki wypełnił swój obowiązek nad podziw dobrze i rokuje jaknajlepsze nadzieje na tem polu. Jego grą. jego gestykulacją i mimiką, jego wyśmienitym cieniowaniem głosu mógłby się poszczycić niejeden aktor zawodowy.

Oprócz tego doskonale zgrana orkiestra dęta w składzie 20-tu ucz godnie się spisała, wypełniając wszelkie antrakty pięknemi utworami muzycznemi. Orkiestra pod batutą ucz. Pieli, który wykazywał niepospolitą technikę w dyrygowaniu.

Tych kilka godzin spędzonych na wyżej opisanej akademji pozostanie zapewne każdemu z gości miłem wspomnieniem. Jej wykonawcy zaś dali niezbity dowód swej pracy, pracy takiej, która niestety jeszcze nie we wszystkich zakładach jest należycie doceniana, a w niektórych nawet zaniedbana, lub co gorsze zapomniana w zupełności.

Tem większe zasługi odnieśli uczniowie Gimn. Mat. Przyr. z Król.-Huty, że własnym kosztem oraz nieustannym trudem wybudowali piękną scenę.

Komunalne Gimnazjum Koedukacyjne im: Wł. Reymonta w Nowym Bytomiu.

W niedzielę, dnia 25-ego z. m. o godzinie 10-tej odbyło się pierwsze posiedzenie „Kółka Miłośników Literatury“ („K. M. L.“) przy Gimnazjum w Nowym Bytomiu. Po odczytaniu sprawozdania zajęto się wyborem nowego zarządu.

Nowy zarząd przedstawia się następująco:

1. Dyllong — prezes;
2. Kłaczko — wice-prezes
3. Stampel — sekretarz
4. Blinstrubówna — skarbnik

Po wyborach przemówiła kuratorka „K M.L.“, p. prof. Moskwianka, zachęcając zebranych do pracy nad będącem dopiero w kolebce kółkiem („K. M. L.“ zostało bowiem załozone dopiero 22. III. 1928)

Referat p. t.: „Władysław Reymont“ wygłosił ucz. Peteja, po którym wyłoniła się ożywiona dyskusja. Referat był ujęty bardzo dobrze, krótko lecz treściwie — w płynnym stylu.

Wygloszenie bez zarzutu.

Nastąpiły wreszcie wolne wnioski. Między innemi poruszono wydawanie własnej gazetki, założenie sekcji amatorskiej, współpracę z „Naszem Pisemkiem“. Obecnych było 37 uczniow i 15 uczennic, (razem 52). **Stasio.**

(Cieszymy się i zapraszamy kolegow do współpracy i możemy już teraz zapewnić, że wszelkie Wasze poczynania znajdą zawsze otwarte karty w „Naszem Pisemku“). Red.

Komunalne Gimnazjum Koedukacyjne Im.: St. Staszica w Rudzie Śl.

„Obchód dziesięciolecia Polski Odrodzonej“

W sobotę, dnia 10-tego z. m. obchodził wyżej wymieniony zakład święto dziesięciolecia Polski. O godzinie 8-mej zgromadziła się młodzież na podwórzu szkolnem, skąd udała się w kolumnie czwórkowej do kościoła parafjalnego św. Józefa. Mszę celebrował ks. prof. Madla, który również wygłosił okolicznościowe kazanie. Po mszy odbyła się w auli gimnazjalnej uroczysta akademja. Na program złożyły się występy orkiestry szkolnej, chóru, deklamacje oraz przemówienia.

Wszyscy, którzy brali czynny udział w akademji, dali dowód pracy i mozołu, a przedewszystkiem staranności około przygotowania swoich produkcyi.

Między innemi bardzo miłe wrażenie wywołał doskonały występ tria, w następującym składzie: ucz. Kwiatkowski - fortep., ucz. Nowak - skrzypce, p. prof Hein - chelo. Przemówienia wygłosili: p. prof. Swierszczyk oraz ucz. Kwiatkowski. Program dopełniły deklamacje z których należy wymienić udatną: „Koncert Jankiela“ z pana Tadeusza, wygłoszona przez ucznia Sławika przy akompanjamencie ucz. Kwiatkowskiego - fort.

Całość wypadła bardzo składnie. Chórem jakoteż orkiestrą dyrygował p. prof. Piula. Taż sama akademja odbyła się po raz drugi w niedzielę, 11-tego z. m. o godz. 4-tej popołudniu dla rodziców, przy szczelnie wypełnionej sali. **Stasio.**

Otwarcie „Czytelni Uczniowskiej“ (C. U.) i „Kółka Lieterackiego“ (K. L.)

W piątek, dnia 22-tego z. m. o godz. 4-tej popołudniu odbyło się zebranie oraz inauguracyjne otwarcie C U. jakoteż K. L. Oprócz uczniów na zebranie przybyli z ramienia grona pedagogicznego: p. dyr. Gąsiorek, p. prof. Środulski — karator C. U., p. prof. Świerszczyk oraz p. prof. Zbijewski — kurator K. L., który po zebraniu i otwarciu C. U. powołał do życia z naszym rokiem szkolnym K. L.

Na wstępie przemówił do licznie zebranych uczniów i uczennic p. dyr. Gąsiorek, przypominając o zadaniach obu kółek. Krótkie lecz piękne przemówienie wygłosił również kurator C. U. p. pr. Środulski oraz kurator K. L. p. prof. Zbijowski. Następnie odczytano sprawozdanie z działalności zeszłorocznej i przystąpiono do wyboru nowych zarządów.

Skład zarządu „Czytelni uczniowskiej“ przedstawia się następująco:

1. Lewicki Stanisław — prezes
2. Rolecka — wice — prezes
3. Urbaszyk — sekretarz
4. Krzymiński — skarbnik
5. Kwiatkowski — gospodarz
6. Tunkelowna — gospodyni

Komisja rewizyjna:

1. Glas
2. Herzejówna
3. Nifczanka

Do zarządu „Kółka Literackiego“ weszli:
1. Herwy — prezes
2. Budniok — wice — prezes
3. Głasz — sekretarz — skarbnik

Komisja rewizyjna:
1. Urbaszyk
2. Krzymiński
3. Cofalik

Stasio.

Sprawozdanie obchodu dziesięciolecia niepodległości państwa polskiego w Mysłowicach.

Już w piątek 9 z. m. po południu uczniowie na własnej scenie wystawili Lillę Wenedę Juljusza Słowackiego, po większej cześci własnemi siłami. Sala wypełniona po brzegi, przeważnie młodzieżą, która w przerwach zachwycała się grą orkiestry złożonej z uczniów tegoż gimnazjum.

W sobotę rano uczniowie udali się czwórkami na nabożeństwo. Następnie w gimnazjum odbył się uroczysty poranek, wypełniony przemowami, deklamacjami i grą orkiestry gimn.

W sobotę tegoż dnia wystawiono po raz drugi „Lillę Wenedę“. I tym razem sala była wypełniona, a po ukończonem przedstawieniu licznie zgromadzona publiczność wynadgrodziła hucznemi oklaskami doskonałą grę żespołu.

H. Trzeciak VII.

ZADANIA MATEMATYCZNE.

Zadanie 5.

Pewien kupiec, wychodząc rano na targ, miał 170 jabłek. Do południa sprzedał pewną ich część biorąc 16 gr za sztukę. Następnie chcąc prędzej sprzedać pozostałe jabłka obniżył cenę do 14 gr za sztukę i w ten sposób sprzedał 3 razy więcej jabłek, niż przedtem.

Mimo tego pozostały mu jeszcze jabłka, więc obniżył cenę poraz drugi, za tę resztę otrzymał 5 zł. Wtedy obliczył pieniądze otrzymane za wszystkie jabłka razem i przekonał się, że ma 22 zł 40 gr. Po ile groszy sprzedawał kupiec jabłka z ostatniej reszty?

A. Grodzicki VII a.

Zadanie 6.

Okrąg o promieniu **R** podzielono na osiem równych części i punkty podziału połączono co czwarty. Obliczyć bok otrzymanej gwiazdy.

Dyonizy Mędlewski, ucz. kl. VII b.

Zadanie 7.

Rozwiązać równanie:

$$x^4 - 5x^2 - 10x - 6 = 0.$$

M. O.

Zadanie 8.

Naokoło punktu (5, 4) w płaszczyźnie xy opisane jest koło promieniem równym 6. Wyprowadzić równanie kuli, przechodzącej przez to koło i stycznej do płaszczyzny

$$3x + 2y + 6z - 1 = 0.$$

M.O.

Rozwiązania z poprzedniego numeru.

Łamigłówkę Brodowskiego rozwiązali:

Mehlich I b; Kuźniarski VIII; Kubina IV b; Kopiec I b; Muthwill III a; Szuchaja II b; Jużyca I b; Chlebek II b; Michalski IV b; Kacz II b; Kręcik II b; Ganszoryk II b; Okoń II b; Siwrzyk II b; Rospeńdowski II b; Sobota II b; Kotas II b; Trzeciak II c; Nowicki V b; Matysik II b.

Zagadkę sylabową Kacza rozwiązali:

Nowicki V b; Trzeciak II c; Kotas II b; Sobota II b; Rospendowski II b; Siwczyk II b; Cymmerman II b; Okoń II b; Gonszoryk II b; Kręcik II b; Michalski IV b; Chlebek II b; Kurz II a; Penczek II b; Kosek II b; Jesionek II b; Muthwill III a; Bochynek I b; Kubina IV b; Kuźniarski VIII; Matysik II b.

Zagadkę Kruszczyńskiego rozwiązali:

Kuźniarski VIII; Nowicki V b.

Łamigłówkę Starka rozwiązali:

Kuźniarski VIII b; Rosmus IV b.

Zagadkę Kopca rozwiązali:

Kuźniarski VIII; Matysik II b; Mehlich I b; Kubina IV b; Bochynek I b; Penczek II b; Jurzyca I b; Chlebek II b; Michalik IV b; Okoń II b; Kacz II b; Kotas II b; Sobota II b; Kręcik II b.

Zagadkę geometryczną Posmyka rozwiązali:

Kuźniarski VIII; Bochynek II b; Jurzyca I b; Kosek II b; Kurz II a; Chlebek II b; Okoń II b; Sobota II b; Jesionek II b; Rospeńdowski II b; Nowicki V b; Mehlich I b

ROZRYWKI.

Zagadka geograficzna.

Ułożył Sven Marjan Wolff Kl. V a.

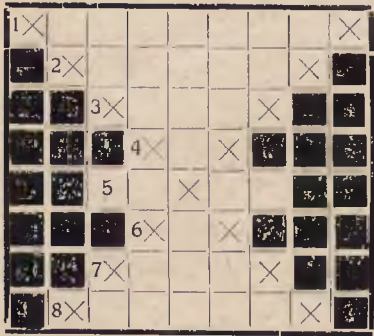

W miejsce kratek należy wstawić litery; kratki oznaczone krzyżykiem, czytane w poprzek, dadzą nazwy dwóch wielkich wulkanów na wyspach Sandwich (Hawaii).

Znaczenie wyrazów poziomych.

1. Miasto w Niemczech (Bawarja.)
2. Królestwo w Europie.
3. Wyspa zachodniej grupy wysp Samoa.
4. Rzeka w Anglji, uchodząca do zatoki The Wash.
5. Przylądek na wyspie Haiti.
6. Jezioro w Szwecji.
7. Wyspa grupy wysp Towarzyskich.
8. Południowy stan U. S. A.

Zagadka I.

ułożył Klapetek E. kl. IV a.
szkoła Handlowa w Katowicach.

i	k	n	n
o	o	o	o
o	p	p	p
s	s	t	t

1. Okres czasu przed Wielkanocą,
2. Część domu,
3. Wiązka zboża,
4. Inaczej rozpuszcza.

Ułożyć litery tak, by można było wyrazy czytać poziomo i pionowo.

Zagadka.

Uł. Siwczyk kl. II b.

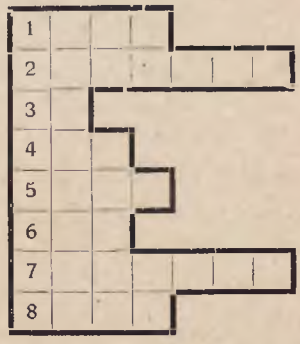

1. Ptak.
2. Minerał składający się z siarki i arszeniku, barwy różowo-czerwonawej.
3. Wykrzyknik.
4. Płyn.
5. Imię męskie.
6. Miara.
7. Imię żeńskie. (3-ci. przyp.)
8. Bogini grecka.

Przy dobrem rozwiązaniu pierwsze litery czytane pionowo dadzą nazwisko polskiego bajkopisarza, zaś ostatnie jedną z jego bajek.

Łamigłówka sylabowa.

uł: Nawrocki Emil IIIc.

Z poniżej zestawionych sylab ułożyć wyrazy, których pierwsze litery czytane z góry do dołu dadzą imię i nazwisko króla polskiego.

Tu — Alp — Anz — Zi — W — Ra — R — Zo – A — Lm — Gm — Aj – Yun — Zan — Uja — Ru — U — Na — Bar — Mon — Ow — Ni — Je — A — Dja — O — A — Or — K — U - Rcja — Ha — Goł — G — Art — Ger.

1. Wyspa przy Afryce
2. Miasto w Kalifornii.
3. Kraj w Am.
4. Mieszkańcy pustyni Gobi.
5. Kraj przy rzece Urugwaju.
6. Rzeka w Afryce.
7. Kraj na Wschodzie.
8. Rzeka w Polsce.
9. Pasmo górskie w Hiszpanji.
10. Zwierzyniec niebieski.
11. Król Maurów.

ADRES: Redakcja i Administracja: Katowice, Gimnazjum Państwowe, ul. Mickiewicza — Wszelkie artykuły i listy należy przesyłać na powyższy adres.
Opiekun mies. „NASZE PISEMKO" **Dr. Stefan Ciembroniewicz,** Katowice, Gimn. Państw.

Drukarnia Przemysłowa — Katowice, Wojewódzka 20.

Treść Numeru 4-go.

Drukiem Drukarni Przemysłowej—Katowice, ul. Wojewódzka 20. Telefon 2515.